

# Ulica Dziwna



FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

## Ulica Dziwna

Po wąskich, krętych, lichy oświetlonych schodach wy dostał się na trzecie piętro starego, zamieszkałego przez biedaków domu i otworzył drzwi wielkim, niezdatnym kluczem.

Był zmęczony długą służbą w biurze telegraficznym. Ile razy wracał do siebie, tętniło mu w głowie, stukalo najniemożliwsze<sup>1</sup> rzeczy. Dopiero po dwu szklankach herbaty z rumem wyjaśniała mu się duchowa sytuacja, ale i ona nie była najlepsza. Widział przed sobą nieskończenie długie lata pracy beznadziejnej, jednostajnej, męczącej i głupiej.

Zaświecił małą, krzywą lampkę, przysłoniętą papierową umbrą, wdzianą na szczątki właściwej szklanej umbrzy, która przed latami już utraciła blisko połowę swej peryferii.

Pokój, a raczej pokoik i kuchnia, wydzielone z większego mieszkania, zajmowanego przez jakieś dziwne nabożeństwa damy, był brudny, zaniedbany i wyglądał bardzo nieprzyjemnie. Ale polubił je z biegiem czasu, jak człowiek ostatecznie polubić musi każdą rzecz, z którą obcuje ciągle. Więźniowie przywiązują się do swej celi równie dobrze jak bogacz do wspianego gabinetu... bardziej może, bo ciasnotę wypełniają myśli i sny... jedyne dobro człowieka biednego. Śni się i zdaje się, że tyle... jeszcze tyle przed nami.

Zapalił maszynkę naftową i poszedł do kuchni po wodę. Wyciągnął rękę, chcąc odkręcić kurek, gdy nagle zatrzymał się.

Z dzioba wodociągu spadały krople. Machinalnie wsłuchał się w ten szybki rytm nieregularnie kapiącej wody.

Czytał pośpiesznie:

— Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna...

Zimny dreszcz go przeszedł. Potem szybko przebiegł myślą adresy dzisiejszych depe sz.

Nie, takiego nie było. Ulica Dziwna...

Czyż była taka ulica w mieście?

Słuchał dalej:

— Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna liczba 36... — wypukiwały krople.

Otrząsnął się i czyniąc wielki wysiłek, odkręcił z impetem kurek. Woda rzuciła się w muszlę, opryskując go tak, że się musiał cofnąć. Z pełnym saganem wrócił do pokoju i postawił go na maszynce. Potem zwrócił się ku patyczkowej półce, gdzie się mieściły różne graty i parę książek, wziął flaszkę, nalał kieliszek rumu i wychylił go duszkiem. Uczyniło mu się ciepło, po chwili zaś raźnie i wesoło.

Siedział na łóżku i patrzył w niebieski płomień nafty, obejmujący naczynie zakopcone, podrapane, biedne jak wszystko naokół.

Zawisł oczyma na półce, gdzie były książki, ale odwrócił po chwili głowę.

— Ulica Dziwna — przemknęła mu przez myśl. — Gdzież to może być?

Uczuł, jakby wstępował na jakiś zgoła odmienny poziom odczucia, spostrzegł się na chwilę na innej płaszczyźnie świadomości, otoczyły go dziwne zjawy, nieznanne. Ale po chwili otrząsnął z siebie przywidzenie.

— Głupstwo! — rzekł do siebie głośno. — Oto skutki tego mego idiotycznego zawodu.

I zatroskał się, co się z nim stanie za rok, za dwa, dziesięć...

— Oszaleję... na pewno oszaleję! — powiedział znów głośno. Potem wstał i udał się do kuchni... Nie zdawał sobie sprawy, po co tam idzie. U drzwi przystanął i wytężył słuch.

<sup>1</sup>najniemożliwszy — dziś popr.: najbardziej niemożliwy. [przypis edytorski]

Z wodociągu padały w muszlę krople wody.  
— Psiamac — rzekł znowu.  
Zawrócił szybko, ale nim doszedł do łóżka, stanął, namyślił się i po chwili był już w kuchni.  
Stanął u drzwi.  
— Ulica Dziwna, liczba 36... ulica Dziwna liczba 36...  
Tak nie ulegało wątpliwości, woda wydzwaniała te słowa.  
Szybko podbiegł do wodociągu i zakręcił kurek, jak mógł najsilniej.  
Krople przestały padać...  
Odetchnął. Czekał jednak jeszcze, niepewny, co będzie. Cisza była zupełna, z dołu tylko od podwórza dobiegał pogłos przyciszonej rozmowy i gdzieś pod nim kwiliło niemowlę.  
Wrócił do pokoju zupełnie uspokojony. Podniósł nakrywkę sagana. Kłęb pary rzucił się w górę. Nasypał do imbryka herbaty i czekał. Rozległ się dzwonek.  
— Tośka! — powiedział do siebie. — Dobrze!  
Był zadowolony, że nie pozostanie dzisiaj sam w mieszkaniu.  
— Serwus! — przywitała go wesoło, objęła za szyję i pocałowała w same usta.  
Potem rzuciła na łóżko kapelusz i okrycie.  
— Co słychać? — pytała — Cóż taki jakiś osowiały? No, gadaj! Możeś sobie wczoraj dał na piec... ej, ty paskudny człowieku!  
— Nie, nie... — bronił się. — Jestem przemęczony, piekielnie przemęczony, a o urlopie mowy nawet nie ma. Zróbże herbaty!  
— Gdzież to idziesz? — spytała, widząc, że wychodzi z pokoju.  
— Nigdzie! Zobaczę tylko...  
Wszedł do kuchni... i zdumiał się, a nawet przeraził.  
Z wodociągu kapąły krople. Nie wysiłał się już nawet, by słuchać, wiedział, co będzie.  
— Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna...  
Wrócił i stanął przy stole, który Tośka już trochę zdołała uporządkować.  
— Przyniosłam coś dobrego! — szczebiotała. — Zgadnij co... no zgadnij!  
Nie odpowiadał, aż spojrziała zdumiona.  
— Jezus Maria! Jakiś ty blady! — krzyknęła. — Co ci się stało? Powiedz! Może byś się położył... tak, tak... kładź się zaraz! Wypijesz herbatę w łóżku. Popatrz no, co przyniosłam... jaka śliczna mieszanina... prawda?  
Patrzyła mu przymilnie w oczy, uśmiechała się.  
— Od paru dni jesteś blady! Czy cię co boli?  
Zaprzeczył ruchem głowy.  
— Chodź no ze mną! — powiedział poważnie.  
Zdziwiła się, ale posłusznie poszła do kuchni.  
— Słuchaj! I powiedz mi, co słyszysz! — rzekł tajemniczo.  
Przeraziła się na dobre.  
— Co ci jest Franek! Boże drogi... co ci jest?  
— Pst! — wyszeptał, kładąc palec na ustach. — Słuchaj pilnie!  
Słuchała, szeroko otwarte oczy wlepiwszy w jego twarz.  
— Nie słyszę nic! — odparła po chwili. — Ktoś rozmawia na podwórzu, płacze dziecko i kapie woda...  
— Otóż to właśnie... — szepnął — woda... ale co kapie: słuchaj!  
— Boże drogi... czy ja wiem? Prawda... to trochę podobne do telegrafu... tak, coś stuka... ale nie wiem co... wszak nie umiem telegrafować. Puk... puk puk... puk... puk... i tyle. Mój drogi, wszakże to czyste dzieciństwo! Niechże sobie kapie. Sam wiesz dobrze, że to dzieciństwo... jesteś zmęczony i na tym koniec... Chodź, kładź się!  
Pociągnęła go w stronę łóżka.  
— Rozbieraj mi się zaraz! — powiedziała stanowczym tonem.  
— Ale cóż znowu... — bronił się. — Wszakże dopiero ósma, ledwo się na dobre ściemniło.  
— Rozbieraj się... jesteś chory...

— Nie, nie, wypijemy herbatę, a potem zobaczą. Nie jestem zresztą chory, głowa mnie tylko trochę boli. Dajże spokój... przyznaję, że mi się czasem trochę kręci w mózgu, gdy wrócę z biura. To straszny zawód, Tośka, powiadam ci... straszny zawód.

Krzątała się wkoło stołu zadowolona, że mówi rozsądnie.

— Masz tobie! — zawołała nagle. — Zabrakło cukru... Czekaj, skoczę do sklepiku na rogu.

— Pozwól... ja pójdę! — rzekł pospiesznie. Wziął kapelusz, zarzucił na ramiona okrycie i wyszedł.

Przechodząc przez kuchnię, zamknął oczy, by nie widzieć przekłętą wodociągu. Ale uszu zatkać nie mógł, posłyszał przeto owo wstrętne, głupie kapanie, które brał za jakąś dziwną depeszę.

— Ulica Dziwna liczba 36... ulica Dziwna... liczba 36...

Goniło za nim, gdy szybko zstępował na dół.

Poszukał oczyma policjanta. Ujrzał go na końcu ulicy stojącego na przeciwległym trotuarze. Przed sklepikiem zawahał się, sięgnął do kieszeni, zwolnił kroku. Ale po chwili, party jakimś przymusem, minął drzwi sklepiku i ruszył spiesznie przed siebie. By przystąpić do żołnierza, musiał przejść w poprzek ulicę. Nie namyślając się, wstąpił wbrew swojemu przyzwyczajeniu, w błoto. Doznał tylko na sekundę niemiłego wrażenia, jakby zdziwienia, że oto robi coś zgoła głupiego, ale brnął dalej.

— Proszę pana — rzekł, uchylając kapelusza — gdzie to jest ulica Dziwna... Zna pan tę ulicę?

Policjant spojrział nań z góry. Obserwował go przez długą chwilę, potem obrócił się na pięcie i odszedł wolnym krokiem. Był widocznie obrażony.

Odetchnął głęboko. Gdyby wypadło, byłby ucałował stróża bezpieczeństwa publicznego. Więc wszystko to jest zwyczajnym głupstwem, pomyślał.

Zawrócił i zaczął szybko iść w kierunku sklepiku, gdzie się jeszcze świeciło.

W sklepiku było trochę ciasno. Stał przy ladzie obok jakiegoś starszego jegomości, który widocznie nie był całkiem trzeźwy. Cuchnęło odeń silnie. Z trudem szukał pieniędzy w kieszeni spodni i liczył potem mozolnie.

Coś go tchnęło i spytał po cichu:

— Proszę pana... czy zna pan ulicę Dziwną?

Jegomość liczył dalej pieniądze, nie dosłyszał pytania. Wreszcie otrzymał swój pakiet, ale nie wychodził. Znaleźli się razem na ulicy.

— Młodzieńcze — spytał jegomość — jak się nazywasz?

— Franciszek Szary! — odparł zdumiony.

— A ja Jan Bylejaki! Tak się teraz nazywam, od kiedy chadzam na ulicę Dziwną...

— Gdzież ta ulica?

— Chciałbyś wiedzieć? Co?

— Chciałbym.

— A masz dużo do stracenia? Ile?

— Pieniądzy... pieniędzy... pieniędzy niewiele... — bąkał.

— Nie pieniędzy! Ale czy masz dużo do stracenia w życiu?

— W życiu... nic... prawie nic...

— No to dobrze! Chodźmy...

Zrobiło mu się jakoś dziwnie. Nie miał zaufania. Wolałby iść sam.

— Czekaj na mnie ktoś...

— Kobieta?

Milczał.

— Pluń na to, powiadam ci! Pluń! Chodźmy. Ale mówię ci z góry: stamtąd powrotu nie ma. To wiedz wprzód. Ciałem wrócisz, duszą nigdy! Nigdy!

Szarym wstrząsnął dreszcz. Ten człowiek nie był pijany. Wyrwał ramię, które tamten ujął po przyjacielsku.

— Nie. Nie pójdę. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie to jest.

— Wszędzie i nigdzie.

— Nie rozumiem.

— Wiem to. Teraz powiedz mi, skąd wiesz o tej ulicy.

— Nie mogę powiedzieć!

— No to już dobrze! — zaśmiał się stary. — Nie powiedział ci tego, przypuszczam, żaden porządny człowiek.

— Nie, to mi się tak przywidziało.

— Wybornie! Wyśmienicie! — radował się Jan Bylejaki. — Jednemu się to przyśni, drugiemu się zjawi na jawie w danym momencie. Wybornie. Powiadam ci: chodźmy!

Wzbraniał się.

— Niech mi pan powie, gdzie to jest i co tam jest. Pójdę sam.

— Tego nie ma nigdzie! Rozumiesz? Tak jak nie ma nigdzie szczęścia ani miłości, ani dobroci, ani jasnowidzenia. Ale to jest wszędzie, bo nastąpić może jak tamto wszystko, w tej chwili i za sekundę możesz stanąć na ulicy Dziwnej, która wiedzie poprzez życie. Ulicą Proszą, Dostojną, Senatorską chodzą tak zwani ludzie porządni, my zaś chadzamy ulicą Dziwną, Przepastną, Zaświatową.

— A jednak chciał mnie pan gdzieś prowadzić...

— Gdzie? Do siebie, do mego mieszkania. Chciałem cię uczynić swoim uczniem.

— Tyle tylko... — odrzekł rozczarowany. — A jednak ja wiem, że jest to gdzieś... przy ulicy Dziwnej, liczba 36.

— To numer domu, w którym mieszkam.

— Dziwne! Dziwne! — szeptał Franciszek Szary. — Skąd mi się to mogło przywidzieć?

— Nie pytaj, to za trudne pytanie na dziś. Kiedyś sam sobie na nie odpowiesz. Chodź, powiadam ci. Zostaniesz moim uczniem.

— I cóż z tego?

— Czuję, że jesteś powołany... Wskażę ci drożynę, którą się wychodzi poza łąny uprawne życia na cudne, wolne, boże bezdroża...

— I cóż tam znajdę?

— Wolność i mądrość. Zachwyty, jakich nie pomieści pierś ludzka, miłość, która by cię dziś zamieniła w garstkę popiołu. Wyszkołę twe serce, by stać się kiedyś mogło czarą pełną niebiańskiego nektaru.

Słuchał zdziwiony, przerażony.

— Przyjdę jutro... — rzekł wymijająco.

— Nie przyjdiesz nigdy, jeśli nie przyjdiesz dziś. Chodź ze mną.

Franciszek Szary wyrwał ponownie ramię, szarpnął się w tył i powiedział stanowczo:

— Przyjdę jutro!

— Nie ma jutra, jest tylko dziś... Znalazłeś skarb, a chcesz go podnieść jutro dlatego, że dziś masz zbierać łachmany? Pomyśl tylko... pomyśl!

Franciszek Szary zdjął kapelusz, czując zimny pot na czole. Drżał nerwowo.

— Proszę pana o adres! Zaręczam, że przyjdę jutro wieczór i rad będę posłuchać pana. Dziś doprawdy nie mogę!

— Nie możesz... — zaśmiał się cicho — Ach! Wiedziałem o tym, że nie możesz. Tylu was już było. Żaden nie mógł, każdy musiał spełnić jakiś obowiązek... właśnie w tej chwili... przy ulicy Pańskiej, czy Oczywiściej, czy Pięknej... Dobrze... idź, idź...

— Daj mi pan adres! — prosił.

— Adres? Znasz go przecież...

— Nie znam! Daj mi pan adres dokładny...

Jegomość odwrócił się i poszedł bez słowa. Franciszek Szary patrzył za nim z głębokim żalem.

Nagle zadrżał. Stary uszedłszy kilka kroków, znikł nagle, jakby się zapadł w mrok.

Strach nagły zatrząsał patrzącym. Przetarł oczy i spojrział wokoło.

Spostrzegł, że stoi w sklepiku oparty o ścianę. Właścicielka patrzyła nań ze współczuciem.

— Słabo się panu zrobiło?

Nie odparł nic. Zapłacił, wziął swój pakunek i szybko pobiegł do domu.

W susach dostał się do swego mieszkania, szarpnął drzwi i stanął jak wryty.

Nadsluchiwał z wyteżoną uwagą, nie spuszczać z oka wodociągu.

Ni kropla nie padła w muszlę.

Zatrząśł nim straszny, niepohamowany żal. Wpadł do pokoju i zwracając się do Tośki, wrzasnął, aż szyby w oknach zabrzękły<sup>2</sup>.

— Precz!

Wskazywał drzwi, stał blady, zęby mu szczękały.

— Zwariowałeś? — spytała przerażona.

— Precz! — powtórzył i tupnął nogą. Zaczęła zbierać części ubrania, blada, smutna, obrażona do głębi duszy, a piersiami jej wstrząsał jęk okropny.

On zaś czując, że się nogi pod nim uginają, padł na łóżko i wybuchnął straszonym płaczem.

— Franek! Franek! — zawołała przez łzy. Objęła go za szyję i płakała razem z nim.

---

<sup>2</sup>zabrzękły — dziś popr.: zabrzęczały. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-ulica-dziwna>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, *Tropy*, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czerneckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).